

Przejdźcie na edukację domową

27 lutego 2024

Edukacja domowa staje się w ostatnich latach „nową” formą edukacji, na którą decyduje się coraz więcej osób. Piszę „nową” w cudzysłowie, gdyż kiedyś dzieci zamożnych rodów edukowane były w domu. Do tego dochodziły podróże i wyjazdy edukacyjne w celu nabycia nie tylko wiedzy, ale też umiejętności. Zdobywanie wykształcenia było kosztowne i mogła sobie na to pozwolić niewielka część społeczeństwa. Wymagało to też mobilności. Dzisiaj edukacja w Polsce jest darmowa, powszechna i dostępna dla każdego. Niespecjalnie trzeba też wyjeżdżać „na nauki”, bo przecież szkoła jest tuż pod nosem. Nie trzeba, ale czy tak naprawdę wolno? Cóż, z tą wolnością różnie bywa... Przy rozdmuchanej do granic możliwości podstawie programowej, długich godzinach spędzanych przez dzieci i młodzież w szkole, a następnie w domu na odrabianiu zadań domowych i zakuwaniu (tak, zasada „zakuć, zdać, zapomnieć” nadal obowiązuje), nie ma przestrzeni na wyjazdy, poszerzanie horyzontów itp.

Trzeba się przecież przygotować do szkoły po to, by napisać wszystkie liczne kartkówki, sprawdziany, a następnie zdać przeprowadzane w warunkach stresu i pod presją egzaminy, które, jak wszyscy wiedzą, wcale nie przygotowują do życia. Nie gwarantują też znalezienia pracy czy też zrobienia kariery. Jedynym czasem, kiedy można wyjeżdżać, są wakacje i ferie. A przez pozostałe dziesięć miesięcy w roku, chodzimy do szkoły i pod to zostaje podporządkowane całe życie.

Do szkoły „chodzą” również rodzice, a często także dziadkowie, bo przecież trzeba dzieci zawozić, odbierać, pomagać im przy odrabianiu zadań, robieniu licznych projektów, wykonywaniu prac plastycznych (nie każde dziecko to Picasso), technicznych, pisaniu wierszy (nie każdy jest Mickiewiczem), przygotowywaniu inscenizacji, kostiumów, i scenografii do przedstawień... To wszystko mogłoby być nawet fajne, gdyby nie

przysłacząca ilość i odtwórczy w przeważającej mierze charakter tych wszystkich prac. W końcu okazuje się, że nie starcza nam czasu na bycie razem z dziećmi, na zabawę, na relaks, na odpoczynek, nie mówiąc już o wyjazdach i wspólnym odkrywaniu świata. Na tym ostatnim najbardziej nam zależało, ale z czasem okazało się, że w weekendy trzeba wykonać zaległe prace z całego tygodnia i przygotować się na nowy tydzień. Zarwanie tygodnia szkolnego też przestało wchodzić w grę, gdyż ból związany z nadrabianiem zaległości był zbyt duży. Opisuję tutaj realia podstawówki! Przy czym z doświadczenia wiemy, że jeśli wpadnie się w taki schemat, trudno jest się połapać i zobaczyć, w czym tkwimy, a nawet jeśli ktoś widzi, to naprawdę ciężko jest się z tego wyrwać. Większość osób pozostaje przy narzekaniu i nic z tym nie robi, starając się przetrwać podstawówkę, a później szkołę średnią, bo wraz z upływem czasu, realia się nie poprawiają, a wręcz zacieśniają jeszcze bardziej. Do tego dochodzą inne problemy, typu uzależnienia od ekranów, wpadanie w nałogi, czy pod zgubny wpływ rówieśników. Dla mnie już samo obgryzanie paznokci przez dziecko jest wystarczająco niepokojącym zachowaniem, gdyż jest przejawem autoagresji i świadczy o tym, że dziecko regularnie doświadcza stresu, na który reaguje agresją kierowaną do środka, czyli dziecko wie, że nie może nic zrobić, żeby uniknąć bólu. Ma powiedzieć rodzicom, że jest przemęczone, zdemotywowane i zestresowane, i że nie będzie więcej chodzić do szkoły? Jest to przecież obowiązek – przykry i nieprzyjemny. A jeśli dla rodziców edukacja dzieci również staje się przykrym obowiązkiem i tak naprawdę obciążeniem, to coś tu jest fundamentalnie nie tak.

Wcale jednak nie musi tak być. Nauka może być przyjemna, fajna, i może odbywać się na naszych warunkach. Od czasu, kiedy przeszliśmy na edukację domową, w naszym życiu zmieniło się praktycznie wszystko. Nie jest to jedyna zmiana, jakiej dokonaliśmy, ale ta akurat umożliwiła wiele innych zmian – stała się fundamentem fajnego i ciekawego życia. Postanowiliśmy więc podzielić się naszymi doświadczeniami w

tym zakresie.

Na edukacji domowej jesteśmy już czwarty rok. Piszę „jesteśmy”, gdyż ta forma edukacji z definicji wymaga od rodzica większego zaangażowanie w edukację dzieci, zwłaszcza na początku. Z czasem może to przejść tylko w nadzór, ale na początku trzeba się zorganizować, wdrożyć i zaopiekować dzieckiem w nowym środowisku. Naszą decyzję podjęliśmy w trakcie pandemii, kiedy nagle odczuliśmy ulgę, bo nie musieliśmy zawozić naszych dzieci do szkoły i jeździć tam i z powrotem. Chłopcy kończyli o różnych porach, a jak doszły do tego jeszcze zajęcia dodatkowe, było tego jeżdżenia całkiem sporo. W nauce pomagaliśmy im od zawsze i nagle się okazało, że nauka odbywa się w domu i my robimy praktycznie to samo, ale odpada nam zawożenie. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak mogłoby to wyglądać inaczej. A potem zaczęliśmy rozmawiać z dziećmi. Pamiętam ten dzień, kiedy wykreowaliśmy naszą wersję ED – tę, którą mamy dzisiaj. Był piękny wiosenny dzień, a my siedzieliśmy w naszym domku letniskowym pod lasem i każdy mówił, czego by chciał – bez ograniczeń i patrzenia, czy to jest realne, czy nie.

– Żeby nie trzeba było codziennie wstawać o siódmej i chodzić do szkoły – powiedział starszy syn, który był wtedy w piątej klasie. – I żeby nie było zadań domowych – dodał.

– Żeby nie było ocen – powiedział młodszy syn (klasa druga). – I żeby w szkole było fajnie.

– Żeby się w szkole można było uczyć ciekawych rzeczy. Tego, czego się chce, na przykład lotnictwa – zaśmiał się starszy.

– I robić prezentacje. I żeby byli fajni koledzy.

Obaj chłopcy byli wtedy na etapie Harry’ego Pottera.

– Żebyśmy mogli uczyć się magii i rozwijać zdolności magiczne jak w Hogwarcie – padło kolejne marzenie.

- I wycieczki – żeby było dużo wycieczek, na przykład do lasu.
- I żeby była w szkole maszyna do popcornu – rozmarzył się młodszy syn.

Spojrzeliliśmy wtedy na siebie z mężem.

- Tylko gdzie my taką szkołę znajdziemy? – uśmiechnęliśmy się.

Ale znaleźliśmy! Na drugim końcu kraju znaleźliśmy szkołę, do której miesiąc później zapisaliśmy nasze dzieci. I tak – przeprowadziliśmy się, ale to tylko wyszło nam na dobre. Pamiętam miny naszych dzieci, kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy do nowej szkoły i przed budynkiem na łące znajdowała się trampolina! Szkoła była stacjonarna, ale oferowała również możliwość nauki w systemie ED. My wybraliśmy właśnie ED, ale w ofercie były też zajęcia dodatkowe, tak zwany „outdoor”. Były to zajęcia w plenerze. Zapisaliśmy na nie chłopców. Były więc wycieczki w lesie.

Zebrała się fajna ekipa dzieciaków o podobnych zainteresowaniach, zmaterializowali się więc fajni koledzy. W zasadzie zmaterializowały się wszystkie aspekty naszej kreacji. Nasze dzieci mogły uczyć się w domu (nie musiały więc wstawać codziennie o siódmej rano), miały tylko zdać egzaminy z wszystkich wymaganych przedmiotów z podstawy programowej. Mogły więc pracować w swoim tempie, wybierając sobie, które przedmioty robią w danym dniu. Szkoła uczy metodą projektu i w ramach egzaminu ustnego chłopcy mogli przygotowywać prezentację na wybrany przez siebie temat. Nie było też ocen cząstkowych, tylko ocena końcowa z egzaminu. Nie było też znienawidzonych zadań domowych. Nasze dzieci uczą w domu, ale nigdy nie podchodzą do tego, jak do robienia zadań domowych, które ponoć oryginalnie były zadawane jako kara.

Pewnego dnia chłopcy wrócili z outdooru i z dzikim entuzjazmem wołali od drzwi:

- Mamo, Tato! Zgadnijcie, co mamy teraz w szkole!

– Co takiego? – zapytałam, podejrzewając, że będzie to coś niestandardowego.

– Maszynę do popcornu! – padła odpowiedź.

Wtedy zaczęliśmy się śmiać z mężem na całego. Co do ostatniego elementu naszej kreacji – Hogwartu – to urzeczywistniliśmy sobie sami. Zaczęliśmy wspólnie (również z dziećmi) medytować i rozwijać się energetycznie i duchowo, rozwijając z czasem różne magiczne zdolności. Magia czy fizyka kwantowa – na jedno wychodzi). A że po przejściu na ED mogliśmy z mężem urzeczywistnić nasze marzenie o podróżowaniu, mamy więc mobilny „Hogwart”. Możemy wyjeżdżać, zwiedzać, uczyć się i rozwijać wspólnie z naszymi dziećmi i razem z nimi poznawać świat. Możemy uczyć ich różnych przydatnych, praktycznych umiejętności życiowych, na co wcześniej nie zawsze starczało czasu. Jesteśmy bardzo wdzięczni wszystkim ludziom zaangażowanym w szkołę, która tak wiele zmieniła w naszym życiu. Jak widać, można robić coś inaczej, fajnie, przyjemnie i na luzie. Edukacja wcale nie musi być sztywna, skostniała, czy kojarzyć się z bólem, stresem lub nieprzyjemnością. Nie ma też zasady, która mówi, że trzeba tkwić w systemie i powielać to, co robią wszyscy inni. Warto otworzyć się, popatrzeć szerzej i dopuścić inne możliwości. A potem podjąć decyzję i działanie. Jeśli chodzi o to ostatecznie, to przejście na ED oznaczało dla nas sporo pracy, która nie zawsze była łatwa i przyjemna, a efekty przyniosła dopiero w funkcji czasu. Nie mamy tutaj na myśli samej nauki, ale wyprowadzenie dzieci ze „starego”, czyli systemu, w którym byli zanurzeni przez kilka lat.

Niestety, po pierwszym entuzjazmie i zachłyśnięciu się nowo odzyskaną wolnością, stosunkowo szybko okazało się, że mamy problem – nasze dzieci, zdolne i inteligentne, nie były kompletnie zainteresowane nauką i nie umiały się uczyć. W starej szkole chłopcy zatracili zupełnie motywację do nauki oraz ciekawość poznawczą. Z perspektywy czasu możemy powiedzieć, że ich wczesna podstawówka to była „jazda na

popych". To nie jest moje własne określenie, ale termin zasłyszany od innych rodziców zmagających się z tym samym problemem. Przytaczam go, ponieważ dobrze oddaje zjawisko. I nawet nie chodzi tutaj o lenistwo, ale o przyzwyczajenie, że mama czy też rodzice pomogą, dopilnują, przypilnują, doprowadzą, czyli jednymi słowy, zero motywacji, by cokolwiek zrobić samemu.

Kiedy się zorientowaliśmy, co jest grane, zakasaliśmy rękawy i zabraliśmy się do pracy, zaczynając od tego, żeby nauczyć nasze dzieci, jak się uczyć. Proces ten i w ogóle proces wychodzenia ze starych nawyków i przestrajanie na samodzielną pracę oraz wzbudzanie u nich ciekawości poznawczej zajęło nam dwa lata. Widzieliśmy, że chłopcy byli ofiarami systemu, ale byliśmy zdeterminowani, żeby ich z tego wydostać. Jesteśmy pewni, że gdyby byli od samego początku na ED i na naszych „warunkach”, nie byłoby tak źle. Udało nam się jednak przepracować wszystkie problemy. Dzisiaj jesteśmy wszyscy w punkcie, w którym widzimy efekty. Chłopcy uczą się sami, są otwarci, entuzjastyczni i ciekawi świata. Umieją organizować sobie czas i wiedzą, że jeśli na przykład w planie mamy wyjazd, to warto sobie nadrobić naukę. Przychodzą też do nas ciągle ze swoimi „odkryciami”, chętnie dyskutują na przeróżne tematy, a jeśli potrzebują pomocy przy projekcie z ekonomii czy jakiegokolwiek innego przedmiotu, to się zgłaszają. My oczywiście monitorujemy ich pracę na bieżąco i pomagamy, gdzie trzeba, tłumaczymy różne zjawiska, ale nie ma jazdy na popych. Z tego dawno już wyszliśmy. Początki jednak były trudne.

Pamiętam, kiedy w pierwszym roku na ED odkryłam, że młodszy syn, wtedy uczeń klasy trzeciej, nie umiał nic z języka angielskiego. Znał kolory i potrafił powiedzieć „Hello, my name is...”. Poza tym – absolutnie nic! Po dwóch latach nauki angielskiego w szkole stacjonarnej oraz czterech latach w przedszkolu, gdzie też był angielski, on nie wyniósł z tego niczego. Bo były kolorowanki, posłuchanki, zabawa. Wszyscy powtarzali wspólnie, więc nauczył się, że nie musi niczego

zapamiętywać. Kiedy to odkryłam, byłam w totalnym szoku, ale nie było wyjścia – powiedziało się „A”, więc trzeba było rozwiązać problem. W ciągu jednego roku szkolnego nadrobiliśmy dwa poprzednie, robiąc de facto trzy lata w jeden. A potem poszło gładko – do tego stopnia, że dzisiaj syn, który jest w klasie szóstej, ogląda filmy po angielsku i czyta książki w tym języku („Harry Potter”, „Percy Jackson”, „Hobbit”) i pięknie mówi, stosując takie zwroty, które czasami mnie zadziwiają. Notabene, każdemu polecam wspólne oglądanie filmów i seriali z dziećmi po angielsku, przy włączonych napisach. My robimy to od lat i nie tylko miło spędzamy czas, ale też poszerzamy słownictwo i szlifujemy język. Omawiamy też wspólnie wzorce zachowań bohaterów i zjawiska przedstawione w filmach. To jest nie tylko świetna zabawa, ale również edukacja domowa.

Kiedy młodszy syn zaskoczył już jak się uczyć, nadal wymagał nadzoru, bo długo jeszcze się rozpraszał, odpływał i nauka zabierała mu zdecydowanie zbyt dużo czasu. Z czasem jednak efektywność poprawiła się, a my zobaczyliśmy, że może i potrafi pracować sam.

Starszy syn miał mnóstwo zacisków i to zależało od przedmiotów. Geografię i historię, na przykład, pochłaniał dosłownie i poszerzał na własną rękę. Gorzej było z językiem polskim i matematyką. Pamiętam, że zasiadaliśmy do języka polskiego i jak tylko zaczynałam do niego mówić, on odjeżdżał zupełnie i patrzył na mnie mętnym i nieobecny wzrokiem. Na pewno nie było go wtedy w ciele. Zaczęliśmy dochodzić do przyczyn i okazało się, że „lekcje z polskiego były tak nudne, że to było nie do wytrzymania”. Polski – w wymiarze pięciu lekcji tygodniowo! Nasz syn rozwinął więc mechanizm unikania bólu i „odpływania w niebyt”. Naprawdę długo nam zajęło wychodzenie z tego, gdyż był to utrwalony nawyk. Pomogły dopiero korepetycję ze studentką polonistyki, która prowadziła je w sposób ciekawy i można powiedzieć, wyciągnęła dzieciaka z letargu.

Na matematyce w szkole stacjonarnej był całkowity terror. To z kolei doprowadziło do takiego zacisku na ten przedmiot, że matma w ogóle nie szła.

Ponieważ dzielimy się przedmiotami z mężem mniej więcej po pół i matematyka akurat była „jego”, obserwowałam jego zmagania, żeby jakoś dotrzeć do syna z boku.

Zaciski były jednak na tyle mocne, że z nauki matematyki, przy szczerych chęciach obu stron, za każdym razem robiła się przepychanka. Aż pewnego dnia dotarliśmy do przyczyn – wysypały się wspomnienia i dowiedzieliśmy się, jak to wszyscy siedzieli zestresowani na lekcji i jedyne, o czym myśleli, to żeby dotrzeć do końca i nie zostać wezwanym do tablicy. Ostatecznie tutaj również zdecydowaliśmy się skorzystać z fachowej pomocy, czyli na lekcje prywatne dwa razy w tygodniu. To wystarczyło, by syn nauczył się matematyki i zdał egzamin. Z czasem otworzył się na ten przedmiot i teraz do wszystkiego jest w stanie dojść sam.

W trakcie tych pierwszych dwóch lat na ED musieliśmy odtraumatyzować dzieci i sprawić, by zechciały się uczyć, bo jakakolwiek nauka pod przymusem, czy to nauczyciela, czy rodzica, nie jest dobra ani efektywna. A nawet jeśli dziecko zda egzaminy i dostanie się na wymarzone bądź zaplanowane studia to cena może być wysoka – alergie, choroby, wady wzroku – to wszystko się skądś bierze i ma swoje przyczyny.

Dzisiaj nasz młodszy syn jest nadal w tej samej szkole. Uczy się chętnie i chętnie dzieli się z nami swoją nowo nabytą wiedzą. Bardzo lubi prezentacje. Jest otwartym dzieckiem, które łatwo nawiązuje kontakty i jest w stanie rozmawiać z każdą nowo poznaną osobą – nieważne czy po polsku, czy angielsku. Starszy syn zmienił w międzyczasie szkołę, przeskakując po drodze o jedną klasę i jest teraz w drugiej klasie szkoły średniej. Jest to szkoła przez internet, w której uczy się w języku angielskim. Część przedmiotów, jak angielski, matematykę, biologię, historię, itd. musi

realizować zgodnie z obowiązującą podstawą programową, ale część wybiera sobie sam. Ma też wybór odnośnie tego, które przedmioty realizuje w danym roku, czyli na przykład w pierwszej klasie miał geografię, a w drugiej health (zdrowie). Co roku wspólnie układamy plan na dany rok i decydujemy, kiedy zaczynamy, a potem syn dostaje dostęp do kursów, które realizuje przez internet w dowolnym czasie tak, żeby zmieścić się w przyjętym harmonogramie. System proponuje harmonogram, ale syn może przyspieszyć i skończyć półrocze wcześniej.

Ma wolność, ale też stały monitoring. Prace zaliczeniowe, na przykład eseje czy projekty, sprawdzają na bieżąco nauczyciele, z którymi jest w stałym kontakcie.

Fajną cechą tej szkoły jest też mniejsza liczba przedmiotów – można wybrać sobie ścieżkę: cztery, pięć lub sześć kursów w semestrze. My akurat wybraliśmy pięć przedmiotów. O ile angielski (czyli w tym wypadku odpowiednik polskiego) jest w każdym semestrze, o tyle na przykład geografia, fizyka, chemia, historia czy biologia realizowane są przez jeden rok. Kursy takie są intensywne, ale materiał z danego przedmiotu realizowany jest w całości w danym roku. Mniejsze jest więc rozproszenie i zamiast kilkunastu przedmiotów jednocześnie, gdzie skacze się od jednego do drugiego i ma się wrażenie nieustannego przeładowania, można skupić się na pięciu. To jest duży komfort i ten system naprawdę świetnie się sprawdza.

Na bazie naszych dotychczasowych doświadczeń możemy powiedzieć, że decyzja o przejściu na ED była jedną z najlepszych, jakie kiedykolwiek podjęliśmy.

Sporo innych rzeczy też musieliśmy zmienić – cóż, jedna zmiana pociąga za sobą kolejne. Na tym polega rozwój. Można też tkwić w systemie i zaciskać się, że jest źle lub coraz gorzej i tylko starać się przetrwać. Można też wziąć sprawy w swoje ręce, zrobić analizę, sprawdzić możliwości i podjąć odpowiednie działania. Możliwości jest naprawdę dużo, tylko trzeba wyjść z utartych schematów i po nie sięgnąć. Kto

powiedział, że nie można uczyć się o renesansie we Włoszech? Sprawdziliśmy to – można! Można też bliżej – na Wawelu. To też sprawdziliśmy. Teraz doceniamy sobie naszą wolność (nasze dzieci również) i nie zamienilibyśmy jej na nic innego.

W ciągu ostatnich kilku lat poznaliśmy trzy systemy szkolne – reżim stacjonarny – nie dziękujemy, system ED, który daje całkowitą wolność i wymaga tylko zdania egzaminów końcowych i system nauki przez internet w postaci kursów online. Te dwa ostatnie mają różną specyfikę i każdy musi wyczuć, co jest dla niego i jego dziecka odpowiednie. Nie każde dziecko jest w stanie poradzić sobie w środowisku absolutnej wolności, gdzie wszystko musi sobie zorganizować samo, włącznie z wyborem tematu prezentacji na egzamin ustny. To na pewno wymaga zaangażowania ze strony rodziców, którzy muszą na to poświęcić swój czas. Ale jak już się wszystko zorganizuje i dziecko zaskoczy, może być naprawdę fajnie. Wiemy, że aktualnie możliwości jest sporo. Może niekoniecznie w najbliższej okolicy, ale warto poszukać czegoś, co nas pociągnie i co będzie dla nas i dla naszych dzieci najkorzystniejszą opcją. Życzymy powodzenia!

Autorstwo: Otwarci Rodzice

Źródło: Doprawdy.info